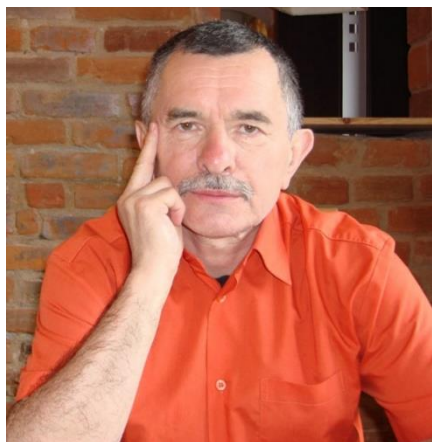


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (56) (fragmenty)



Po wylewie „opracował” parę wierszy. Słowo „opracował” było adekwatne do pocho-robowej metody twórczej Tomasza. Wszystko rozumiał, ale z trudem formułował myśli. Błogosławieństwem dla niego było więc istnienie zeszytów z notatkami i z „pierwszymi rzutami” wierszy. Na ich podstawie skomponował po roku 1990 kilkanaście wierszy przetwarzając niedoskonałe wersje. Nowa technika podobna była do składania nowego wiersza ze starych klocków – słów. I w tym sensie można to nazwać procesem tworzenia nowych utworów.

Początkowo chciał się poświęcić muzyce, marzył jako chłopiec, że zostanie kompozytorem. Do dziś uważa się za szczęśliwego muzyka amatora. Na pianinie grał przez całą dorosłość, co najmniej godzinę dziennie. Podczas podróży, które również uwielbiał, dokonywał zawsze odkryć, wynajdując w sklepach muzycznych nieznane utwory i lokalnych nieznanych kompozytorów. W ciągu lat doszedł do ogromnej wiedzy muzycznej, którą przerażał wielu fachowców. Ślady tych fascynacji można znaleźć w poemacie „Codex”, gdzie bohaterami są ludzie z przypisów, a nie z nagłówek, przeważnie nieznani kompozytorzy. Podczas choroby Tomasz podczołgiwał się do fortepianu, żeby zagrać lewą ręką. Z niczego nie jest tak dumny jak z faktu, że otrzymywał od profesjonalnych kompozytorów z całego świata kompozycje na lewą rękę, napisane specjalnie dla niego... amatora.

Wspominam szczegółowo niegdyśszą podróż do Yasteras i jego opowieść o chorobie, bo przecież minęło od tego czasu 18 lat, a jego sytuacja zdrowotna, poza tym, że się znacznie postarzał, nie uległa jakiegokolwiek zmianie. Właściwie można powiedzieć, że lata jego choroby to jakaś długa niewypo-

wiedziana historia, wielka luka w twórczości. Nie wiemy, co w tym czasie myślał, odczuwał.

W drugiej połowie lat 80. w niszowej oficynie Miniatura ukazał się niewielki i zgrzebnie wydany debiutancki tomik Tomasza w Polsce w tłumaczeniu Leona Neugera. Dalsze zbiory jego przetłumaczonych wierszy były publikowane w krakowskiej Oficynie Literackiej. W 1993 wyszedł w niej tom wzmiankowanych wcześniej małych próz zatytułowanych „Muzeum motyli” wraz moją opowieścią-wywiadem o spotkaniu z poetą. Książka rozchodziła się leniwie, sprzedawała się niewiele ponad tysiąc egzemplarzy i dopiero teraz, po Noblu, ma być wznowiona.

Po „Mojej przedmowie do ciszy” i po „Muzeum motyli” ukazała się w 1997 w tym samym wydawnictwie „Gondola żałobna” zawierająca kilkanaście nowych utworów, opracowanych po udarze, dwa lata później zaś – „Późnojesienny labirynt” złożony z dawnych wierszy. Dzięki staraniom polskich przyjaciół, a przede wszystkim autora tłumaczeń, Neugera, szwedzki poeta przyjechał z nim do Polski na promocję zbioru. Ciekawostka – na spotkaniu w budynku krakowskiej PWST był też zaprzyjaźniony z Tomaszem jeszcze w Ameryce i mieszkający wówczas w Krakowie Czesław Miłosz, który wygłosił parę wierszy bohatera wieczoru, przetłumaczonych przez siebie na angielski i polski. W spotkaniu uczestniczyła żona Monika. Byłem i ja na tym wieczorze i usłyszałem potem z ust Neugera, że szwedzki poeta bardzo się wzruszył ciepłym przyjęciem, jakiego tu doznał. Nawet to później miał odchorować. O ile mnie pamięć nie zawodzi, w następny dzień po spotkaniu odbyła się uroczysta kolacja z udziałem Wisławy Szymborskiej, w której też uczestniczyłem.

Widzę go, jak stoi przed domem, w otwartej bramce złotojesiennego ogródka z krzakiem jarzębiny i astrami, oczekując cierpliwie naszego przyjazdu. Ma ciepły dziecięco ufny uśmiech, tak pasujący do ożłoczonego słońcem wrześniowego dnia. Zaprasza nas nim do środka: wysoki, szczupły, z kosturem w lewej ręce, bo prawą rękę i nogę miał bezwładną... Ten uśmiech nie schodził mu z ust, gdy jedliśmy obiad, a on poprosił Leona o papierosa i zaciągał się nim trochę jak urwis, który dorwał się do zakazanego sztachnięcia.

Przypominam sobie też, że żegnając się z nami, podarował Leonowi dwa wiersze, z których był dumny, bo ukończył je po wylewie, w kwietniu i lipcu 1992 roku.

Obydwa znalazły się w „Muzeum motyli”, ale jeden szczególnie mnie wzruszył, bo przetłumaczony za kilka dni przez Leona brzmiał przejmująco. Spojony z kilku różnych brulionowych zapisków z dawnych lat i przetworzony – dotyczył aktualnej sytuacji egzystencjalnej poety. Skarga przyprawiona dziecięcym zadziwieniem, połączonym z gorzką zadumą mędrca nad losem.

Jakby się było dzieckiem

Jakby się było dzieckiem i jakby niesłyszane
poniżenie

Nasadzone na głowę jak worek
Przez oczka worka rysuje się słońce
I słysząc jak wiśniowy sad podśpiewuje.

Lecz to nie pomaga, to wielkie poniżenie
Przykrywa głowę i tors i kolana
I człowiek porusza się sporadycznie
Zaś wiosna go nie cieszy.

Tak, migotliwa czapka, nasuń ją na twarz
Zerkając przez oczka.
W zatoce kręgi na wodzie kotłują się
bezglównie.
Zielone liście przyciemniają ziemię.

(przeł. Leonard Neuger)

Z listu od krytyka Tomasza Sobieraja fragment dotyczący szwedzkiego noblisty:

„Czytałem trochę Tranströmera. Dociera do mnie ta poezja. Jest w niej duch, jest Bóg, jest metafizyka, jest sterylność, wyciszenie, precyzja, dyscyplina, smak chłodu i łososa, skały i lasy, czysta woda. On prezentuje postawę intelektualną wobec świata dotykającego i niewidzialnego, ale jest człowiekiem wiary – fantastyczne połączenie. Tranströmer wie, że jeśli poezja nie jest rozmową z Bogiem, nie jest pieśnią ułożoną dla Niego, to jest poezją niepełną, kaleką. On realizuje to, co nie udało się Miłoszowi – świetnemu teoretykowi, który był jednak poetą sporadycznym i wysilonym. Miłosz chciał być poetą, przeżył muskuły, a Tranströmer poetą się urodził. Miłosz musiał napisać osobny »Traktat teologiczny«, by się potwierdzać, Szwed tego nie musi, bo jego twórczość sama jest traktatem o wierze. Miłosz nie rozumie przyrody, nie zna jej, podchodzi do niej w sposób wzięty rodem z Blake’a, nieufny, ironiczny, z obrzydzeniem, Tranströmer jest piewą przyrody – a tym samym Boga. I tak dalej. Wybitny poeta”.

Wesoła Cmentarna

Niepostrzeżenie ulica Wesoła mojego życia zamienia się w ulicę Cmentarną, którą idę z rękami w kieszeniach, pogwizdując i robiąc dobrą minę do złej gry, jakbym się nie domyślał, dokąd w ostateczności prowadzi ta droga zasypana żółtymi serduszkami klonów, akacji i brzoź.

Wybory

Kolejne wybory. Wygrało PO Tuska. Sukces partii Palikota, a właściwie samego Palikota, który autokreuje się, biorąc miary z Gombrowicza.

W dzień po wyborach zobaczyłem na ulicy w okolicach Borku Fałęckiego – gdzie znalazłem się z rezolutnym i bystrym trzyletnim wnuczkami Kubusiem – pewnego przegranego polityka.

cdn.